

Jerzy Snopek  
(Warszawa)

## **POLSKO-WĘGIERSKIE *DIALOGI Z SOWIETAMI*: VINCENZ – MÁRAI**

Przez pierwsze lata II wojny światowej ziemia węgierska była oazą względnego spokoju. Życie toczyło się w miarę normalnie, choć podszyte było niepokojem o przyszłość, podsycanym wieściami dochodzącymi z terenów ogarniętych już wojną: najpierw z Polski, a potem z innych frontów walk w różnych częściach Europy. Wkrótce po pierwszych wiadomościach, ogłaszanych w prasie artykułach i reportażach<sup>1</sup>, zaczęły z Polski napływać fale uchodźców uciekających przed Niemcami, a także – przed Sowietami<sup>2</sup>.

Przed najeźdźcą ze Wschodu zbiegł na Węgry między innymi wybitny pisarz, eseista, erudyta Stanisław Vincenz (wraz z rodziną). Przybył z kresów ówczesnej Rzeczypospolitej, z ziem położonych na Ukrainie, nad Prutem i Czeremoszem. Była to ukochana „mała ojczyzna” Vincenza, który po jej opuszczeniu znalazł wraz z rodziną schronienie we wsi Nógrádverőce, położonej około czterdziestu kilometrów na północny zachód od Budapesztu, w pięknej okolicy niedaleko sławnego Wyszehradu. Uczestniczył tam aktywnie w życiu kulturalnym wielotysięcznej rzeszy polskich uchodźców, dla których był wielkim autorytetem<sup>3</sup>. Jednocześnie nawiązał kontakty z sąsiadami węgierskimi; był wśród nich wybitny poeta, przybysz z Siedmiogrodu, Lajos Áprily<sup>4</sup>. Pięćdziesięciokilkuletni podówczas Vincenz był naturą towarzyską, mędrce w typie Sokratesa (tyle że bardzo dużo pisał), odznaczał się prostotą w obejściu oraz niezwykłą otwartością umysłu i ciekawością świata.

Tymczasem w Leányfalu, wsi położonej w odległości kilkunastu kilometrów od siedziby Vincenza (w stronę Budapesztu), osiedlił się Sándor Márai, młodszy od autora *Na wysokiej połoninie* o dwanaście lat, bardzo sławny już wówczas pisarz i eseista. Był również świetnie wykształcony, znał – podobnie jak Vincenz – wiele języków obcych. Koneser, esteta, należał zarazem do najpłodniejszych i najświetniejszych węgierskich publicystów. Pochodzący z patrycjuszowskiej rodziny o rodowodzie saskim, kultywował kulturotwórczą tradycję mieszczańską, z pewną rezerwą odnosząc się do dziedzictwa ludowości. Także w kontaktach z ludźmi cechował się pewną wyniosłością: przy całej swej chłonności umysłowej i niezwyklej wrażliwości, był jednak typem samotnika, a w każdym razie – w przeciwieństwie do Vincenza – nie bardzo potrafił (i chyba nie chciał) naturalnie komunikować się z ludźmi spoza elitarnej sfery.

<sup>1</sup> Zob. A. Przewoźnik, Cs. Gy. Kiss, *Tam na Północy. Węgierska pamięć polskiego Września*, przeł. J. Snopek, Warszawa 2010. Książka zawiera węgierskie reportaże, artykuły i wspomnienia dotyczące Polski we wrześniu 1939 roku.

<sup>2</sup> Brak opracowania monograficznego poświęconego uchodźstwu polskiemu na Węgrzech w latach II wojny światowej. Dostępne są natomiast liczne prace cząstkowe, antologie wspomnień. Niedawno ukazała się – w Polsce i na Węgrzech – monumentalna księga, zawierająca wiele nieznanych przedtem materiałów biograficznych, historycznych i fotograficznych: K. i G. Łubczykowie, *Pamięć. Polscy uchodźcy na Węgrzech 1939–1946*, Warszawa 2009.

<sup>3</sup> Pisałem na ten temat w szkicu *Vincenz a Węgry*, opublikowanym w Polsce na łamach „Twórczości” (1990 nr 9) oraz w: S. Vincenz, *Atlantyda. Pisma rozproszone z lat II wojny światowej*, wybór, wstęp i opracowanie J. Snopek, Warszawa 1994, s. 5–17.

<sup>4</sup> Zob. listy Vincenza do Áprilygo: tamże, s. 122–136.

Pochodził z Górnych Węgier, z umiłowanej Kassy (dziś – Koszyce), ale od wielu lat mieszkał w Budapeszcie i stamtąd uszedł do Leányfalu wkrótce po wkroczeniu na Węgry sojuszniczej armii niemieckiej.

Wejście hitlerowców było równoznaczne z kresem „węgierskiego pokoju”. Nastąpiły czasy grozy, w szczególności dla Żydów, a żona Máraiego była Żydówką<sup>5</sup>. Dlatego wołał ukryć się z nią na prowincji. Terror zaprowadzony przez nazistów, którym widmo klęski zaglądało już w oczy, wspieranych gorliwie przez miejscowych faszystów, tzw. strzałokrzyżowców, trwał około roku. Wymiotła ich Armia Czerwona. Inwazja Sowieców przyniosła jakąś nadzieję, zwłaszcza więźniom getta, uwalniała ich od terroru strzałokrzyżowców, ale zwiastowała nową grozę, tym bardziej że Węgrzy byli traktowani przez niechcianych wyzwolicieli jako sojusznicy Hitlera. Sytuacja zaiste przywodziła na myśl zwalczanie cholery dżumą. Szerzyły się pogłoski o gwałtach dokonywanych przez sowieckich żołnierzy i same gwałty.

Do aktów bezprawia, rabunków i gwałtów dochodziło wówczas we wszystkich krajach, z których Armia Czerwona wypierała hitlerowców. Wszędzie na jej szlaku pojawiały się przestępstwa i zbrodnie. Mogłoby się wydawać, że nie oszczędzano nikogo, wszak ofiarami gwałtu bywały nawet radzieckie więźniarki z wyzwolanych obozów koncentracyjnych, także robotnice przymusowe, ale jednak – jak wykazują badania źródłowe – skala gwałtów była różna w zależności od tego, czy dopuszczano się ich na ludności kraju sojuszniczego, czy też – nieprzyjacielskiego, sprzymierzonego w działaniach wojennych z Niemcami. W pierwszym przypadku zachowywano pewną powściągliwość, gdyż prości żołdaci za swe bestialskie postęпки mogli być karani – nawet śmiercią – przez własne dowództwo (jako że w sowieckiej Rosji akty gwałtów dokonywanych przez żołnierzy były zasadniczo traktowane jako naruszenie dyscypliny wojskowej)<sup>6</sup>.

W przypadku jednak gdy chodziło o ludność państwa należącego do koalicji hitlerowskiej, a już zwłaszcza o ludność niemiecką, przyzwolenie bywało wręcz ostentacyjne. Postępowanie takie traktowano bowiem jako akt zemsty za zbrodnie, których przedtem dopuścili się w ZSRR żołnierze niemieccy. Przyjmuje się szacunkowo, że ofiarami gwałtów z ich strony padło tam wówczas 10 milionów kobiet, z czego urodziło się około miliona dzieci<sup>7</sup>. Także na terytorium Polski szczególnych spustoszeń wśród ludności cywilnej żołnierze Armii Czerwonej (których w latach 1944/1945 było u nas kilka milionów) dokonali na terenach zamieszkałych w większości przez ludność niemiecką – na Pomorzu i Śląsku<sup>8</sup>. Psychologiczne aspekty tych zjawisk na razie

<sup>5</sup> Najobszerniejszą, jak dotychczas, najbardziej wiarygodną monografią Sándora Máraiego jest książka László Rónaya *Márai Sándor* (Akadémiai Könyvtár, Budapest 2005). Nawiasem dodajmy, że o antysemickim nastawieniu Sowieców wspomina w swej książce Vincenz.

<sup>6</sup> Zob. W. J. Gertjejanzen, *Victims, Heroes, Survivors: Sexual Violence on the Eastern Front during World War II.*, PhD diss., University of Minnesota, 2004. Informacje te powtarzają się w licznych opracowaniach.

<sup>7</sup> Tamże.

<sup>8</sup> T. Wojciechowski, *Historia blisko nas – zbrodnie Armii Czerwonej*, [http://www.mojeopinie.pl/historia\\_bliisko\\_nas\\_zbrodnie\\_armii\\_czerwonej](http://www.mojeopinie.pl/historia_bliisko_nas_zbrodnie_armii_czerwonej) (dostęp 12.01. 2013).

J. Ostrowska, M. Zaremba, *Kobieta gehenna. Historia gwałtów czerwonoarmistów*, „Polityka” 2009, nr z 4 marca. Całokształt tych zagadnień (aczkołwiek autor ogranicza się tylko do zdarzeń, które nastąpiły podczas powrotu Sowieców spod Berlina) prezentuje i analizuje Kristian Kowalski w swej pracy magisterskiej *Powrót Armii Czerwonej przez Polskę do ZSRR w 1945 r.*, obronionej

pomińmy, poprzestając na świadectwie (cytowanym przez Richarda J. Evansa) jednego z żołnierzy radzieckich, który pisał w swym dzienniku, że szczególnie lubili oni gwałcić żony funkcjonariuszy partii nazistowskiej.<sup>9</sup>

Jeśli chodzi o Węgry, to szacuje się, że żołdaci sowieccy zgwałcili tam kilkadziesiąt tysięcy kobiet (w przedziale 50–200 tysięcy), terroryzowali ludność cywilną, dopuszczali się rabunków, a nawet morderstw<sup>10</sup>. Traumatyczne doświadczenia z tym związane pozostały głęboko w pamięci Węgrów. Przez dziesięciolecia nie mogły być – podobnie jak w innych krajach obozu sowieckiego – upubliczniane. Z powodów politycznych przemilczali je również historycy. Dopiero erozja systemu pojałtańskiego umożliwiła wydobyć tę sferę zjawisk niejako na światło dzienne. Wśród pierwszych publikacji węgierskich, które poświęcały im uwagę, znalazły się wydane w 1989 roku pamiętniki kardynała Mindszentyego.

O spotkaniach z „wyzwolicielem” kardynał pisał – jak potem Sándor Márai – z perspektywy obserwatora bądź też, w pewnych przypadkach, naocznego świadka. Przytoczmy początek tej relacji:

„W noc świąt wielkanocnych weszła do Sopronu Armia Czerwona. Wcześniej burmistrz urządził naradę, która miała na celu przygotowanie godnego przyjęcia wyzwolicieli. Obok biskupa z Székesfehérváru i jego brata zaprosił na nią również mnie i właśnie ja – jako wyzwolony więzień polityczny – zostałem poproszony o wygłoszenie mowy powitalnej. Odmówiłem, uzasadniając, że wdzięczność Sopronu, jeśli taka istnieje, powinna być wyrażona ustami obywatela Sopronu. Ja jestem obcy, zostałem do tego miasta przywieziony przez Szálasię przemocą i wbrew swej woli. A zresztą nikt mnie nie wyzwał, po prostu zostałem tu zapomniany przez uciekającą w popłochu władzę faszystowską. Na powitanie Sowietów nie poszliśmy, nie wyszliśmy nawet z domu, a to z powodu nieopisanego wprost zachowania sowieckich żołnierzy.

W pierwszych dniach obserwowałem przez szczeliny w oknach przejawy duchowości bolszewickiej oraz czyny żołnierzy okupanta, którzy pojedynczo bądź grupowo, uzbrojeni w karabiny maszynowe, przypuszczali szturm na okoliczne domy. Wylamywali furtki i drzwi zaryglowane przez przerażonych mieszkańców. Wdarłszy się do środka, stawiali pod ścianą mężczyzn i wyruszali na poszukiwanie ukrytych kobiet, a także wina, żywności i kosztowności. Wyciągali rękę po każdą rzecz mającą jakąś wartość. Przystawiając do piersi właścicieli pistolet maszynowy, ściągali im z rąk zegarki, pierścionki, zrywali kobietom z szyi biżuterię, pustoszyli szuflady. Zdarzyło się wiele wypadków śmiertelnych, szczególnie wśród obrońców kobiet. Za dnia, a tym bardziej nocami, słyszę wokół krzyki napastowanych kobiet. Miasto i okolice stają

---

w 2003 roku na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, publikowanej we fragmentach na stronach internetowych. Oczywiście, nie sposób pominąć słynnej książki historyka angielskiego A. Beevora (polskie wydanie: *Berlin 1945. Upadek*, tłum. J. Kozłowski, Kraków 2009, a także fundamentalnych prac R. J. Evansa.

<sup>9</sup> R. J. Evans, *The Third Reich at War*, Penguin Press, Cambridge 2008.

<sup>10</sup> A. Roberts, *Stalin's army of rapists: The brutal war crime that Russia and Germany tried to ignore*, „Daily Mail” z 24 X 2008 r., <http://www.dailymail.co.uk/news/article-1080493/stalins-arm>, dostęp 15.12. 2012.

Por. też A. Pető, *Budapest ostroma 1944–1945-ben női szemmel...* Feministyczne ujęcie tej problematyki znajdziemy w książce Susan Brownmiller, *Against our Will. Men, Women and Rape*, A Fawcette Columbine Book 1975, a także – po części – w pracy Vereny Fiegl, *Der Krieg gegen die Frauen. Zum Zusammenhang von Sexismus*, Tarantel FrauenVerlag, Bielefeld 1990.

się łupem pijanych żołnierzy. Dowództwo pozwala na te bezceństwa z pewnością dlatego, że chce nasz naród doszczętnie upokorzyć, doprowadzić do upadku moralnego i materialnego, aby z tym większym sukcesem ukazywać potem przyniesiony z Moskwy bolszewizm w glorii zbawcy biednego ludu”<sup>11</sup>.

Dodajmy jeszcze, że na Węgrzech pojawiły się także powieści poświęcone traumatycznemu spotkaniu społeczeństwa węgierskiego z żołnierzami Armii Czerwonej w ostatnim stadium drugiej wojny światowej<sup>12</sup>.

W przeciwieństwie do Polaków, Madziarzy mieli jedną tylko wyrazistą asocjację historyczną związaną z Rosjanami. Wszak to armia carska przyczyniła się w decydującej mierze do zdławienia wielkiego zrywu wolnościowego Węgrów z lat 1848–1849. Było to więc skojarzenie z narodową traumą. Polacy ścierali się z Rosjanami nieustannie w ciągu wielu stuleci, mieli zatem czas i sposobność, aby się z nimi oswoić. Mogły się jeszcze pojawić pewne reminiscencje z czasów najnowszych, z pierwszych lat, czy nawet miesięcy, istnienia Związku Radzieckiego. W przypadku Węgrów było to mroczne wspomnienie swego rodzaju kolaboracji z ustrojem sowieckim, która zaowocowała utworzeniem efemerycznej Węgierskiej Republiki Rad w 1919 roku. Polska, przeciwnie, znalazła się w tym okresie w stanie wojny z państwem radzieckim, co wówczas zaowocowało chwilami prawdziwej grozy, ale też – ostatecznej chwały. Węgierska Republika Rad była na dobrą sprawę eksperymentem – w którym umoczył palce młodziutki Márai – przeflancowania ze Wschodu pewnej idei. Eksperyment ów nie skutkował rzeczywistym zderzeniem z ludźmi sowieckimi ze Wschodu (chyba że za takich uznamy przybyłych stamtąd, odpowiednio indoktrynowanych, komunistów węgierskich). Dla Máraiego takie zderzenie nastąpiło dopiero teraz, w 1945 roku. Vincenz, choć bieżącą polityką niezbyt się interesował, miał od dawna owych ludzi ze Wschodu na wyciągnięcie ręki.

U schyłku wojny światowej obaj wielcy pisarze i intelektualiści zetknęli się z nimi w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Obydwaj uznali to zdarzenie za wystarczająco istotne, by dać mu szczegółowe świadectwo literackie. Widocznie znaczenie tego związanego z Sowietami epizodu rosło w miarę upływającego czasu, skoro obaj zajęli się nim po latach: Vincenz w *Dialogach z Sowietami* (pracę nad tą książką autor rozpoczął w 1955 roku<sup>13</sup>), Márai w tomie *Ziemia! Ziemia!...* (pierwsze wydanie w 1971 roku).

Jak wyglądało to pierwsze spotkanie z Sowietami na Węgrzech (bo Vincenz spotkał się już z nimi wcześniej na swej rodzinnej ziemi)? W obu przypadkach było poprzedzone ostrzeżeniami i alarmami prasowymi oraz przekazywanymi z ust do ust pogłoskami o zbliżaniu się żołnierzy Armii Czerwonej. Tak to obaj zapamiętali. Vincenz zauważył, że „fantazyjne naloty sprzymierzonych na Budapeszt i na Węgry, szczególnie bezlitosne, były karą dla Węgrów za to, że Niemcy je obsadzili (...) przez zniszczenie centrów komunikacyjnych znakomicie torowały pochód armii rosyjskiej”<sup>14</sup>.

<sup>11</sup> J. Mindszenty, *Emlékirataim, Az Apostoli Szentszék Könyvkiadó, Budapest 1989*, s. 55 (cytuję we własnym przekładzie – J. S.).

<sup>12</sup> A. Polcz, *Asszony a fronton, egy fejezet életemből, Szépirodalmi Könyvkiadó, Budapest 1991*; także: Gy. Konrád, *A cinkos, AB Független Kiadó, Budapest 1983*.

<sup>13</sup> O perypetiach związanych z wydaniem tej książki pisze Andrzej Vincenz w posłowie do jej polskiej edycji; zob. S. Vincenz, *Dialogi z Sowietami, Kraków 1991*, s. 314–315.

<sup>14</sup> S. Vincenz, tamże, s. 180–181.

„Rosjanie – pisze dalej Vincenz – posuwali się naprzód, zbliżali się wytrwale. Czasem jednak cofali się chwilowo, jak po odbiciu przez Niemców miasta Jászberény, i wówczas niemieckie i węgierskie gazety pełne były alarmujących reportaży o żołdactwie sowieckiej, o jej gwałtach i rabunkach”<sup>15</sup>. Okoliczna ludność węgierska zdawała sobie sprawę, że „pan doktor” – jak nazywano Vincenza – zna Rosjan doskonale z własnych życiowych doświadczeń, toteż szukała u niego słów otuchy i uspokojenia. „Uspokajałem ich tym, co widziałem w Polsce i co wiedziałem, że armia sowiecka jest zdyscyplinowana mocno przez partię i reżym. Chyba więc wymienione przez gazetę wypadki są sporadyczne albo wyolbrzymione przez propagandę niemiecką”<sup>16</sup>.

Przyznaje, że choć opierał swój sąd na dotychczasowych kontaktach z Rosjanami i wiedzy o zasadach, jakimi rządzą się Sowietci, to jednak pomylił się i niektórzy Węgrzy mieli mu to potem za złe. W ujęciu Vincenza te pierwsze chwile po wejściu Sowietów były „prawdziwym piekłem dla wszystkich”, jako że po okolicznych miastach i miasteczkach grasowali wciąż jeszcze Niemcy, poszukując ze szczególną pasją Żydów (sam Vincenz ukrywał znanego krytyka literackiego Andrzeja Stawara, który mu oznajmił, że „armia rosyjska wyrwała się z rąk partii”<sup>17</sup>, co przyczyniło się do bestialskiej samowoli sowieckich żołnierzy).

Pierwsze zetknięcie się Máraiego z Sowietami było – w świetle jego relacji – spotkaniem z pojedynczym człowiekiem, niejako twarzą w twarz: „Pierwszego żołnierza rosyjskiego spotkałem w kilka miesięcy później, drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia 1944 roku. Był to młody człowiek, jak mi się wydawało, Białorusin; miał typowo słowiańską twarz z szeroko rozstawionymi kośćmi policzkowymi, jasne włosy (...). Z karabinem w ręce wjechał konno na dziedziniec urzędu gminnego; w ślad za nim galopowało dwóch starszych, brodatych szeregowych o ponurych twarzach”<sup>18</sup>.

Na charakter kontaktów z Sowietami wpływała bez wątpienia okoliczność, że Vincenz znał język rosyjski oraz mentalność najeźdźców, podczas gdy dla Máraiego „przybysze ze Wschodu” stanowili w gruncie rzeczy ucieleśnienie obcości. Niejako odwrócone były ich relacje w odniesieniu do środowisk – wiejskich – których częstkę podówczas stanowili. Vincenz przebywał wśród obcych, choć kręciło się wokół niego także kilku Polaków, Márai zaś – wśród swoich. Vincenz był aktywny i ruchliwy, pełnił w społeczności swej wsi funkcje pomocnika, ratownika, pośrednika. Oto jak sam tę sytuację przedstawiał:

„W takim punkcie węzłowym i w tej sytuacji, niespodzianie i ponad wszelkie me zapotrzebowanie, miałem sposobność (...) do tylu spotkań, rozmów, dialogów, że nieraz padałem z nóg.

Nawiązywały się one, zwłaszcza na początku, na tym tle głównie, że ze wszystkich stron wsi przybiegali znajomi i nieznajomi Węgrzy z prośbami o różne interwencje. Z początku o ukrywanie lub ratowanie kobiet, nieraz o jakieś pertraktacje co do kwatery, rekwizycji lub rabunku i później już o napisanie lub przeczytanie czegoś po rosyjsku. Nie mogłem i nie chciałem odmawiać tym prośbom, choć narażało mnie to na kłopoty i trudy, a już w najlepszym razie na śmieszność”<sup>19</sup>.

<sup>15</sup> Tamże, s. 181.

<sup>16</sup> Tamże.

<sup>17</sup> Tamże, s. 182.

<sup>18</sup> S. Márai, *Ziemia! Ziemia!... Wspomnienia*, przełożyła i posłowiem opatrzyła T. Worowska, Warszawa 2005, s. 12-13.

<sup>19</sup> S. Vincenz, dz. cyt., s. 185.

Márai zaś trzyma się dość kurczowo własnej zagrody, kontakty z innymi mieszkańcami ma ograniczone i na ogół są one wymuszone przez Sowieców.

„Jedynym luksusem w tej sytuacji była samotność; pomimo dzikiej wojennej zawieruchy w naszym domu i okolicy, udało mi się zachować pewien porządek dnia, w ramach którego przez kilka przedpołudniowych godzin mogłem robić notatki i czytać w naszej małej izdebce. W sąsiednim pokoju jęczał i pisał ukraiński chór dziecięcy, Kirgizi i Czuwasze wrzeszczeli, trzaskali drzwiami, puszczały maszyny, ale za ścianą, w naszym schronieniu, mogłem przez kilka godzin dziennie być sam. Podczas tych godzin czytałem Spenglera”<sup>20</sup>.

Fragment ten wiele mówi o profilu osobowościowym (czy mentalnym) Máraiego, o jego tęsknocie za czymś w rodzaju *splendid isolation* podczas rozpasanych żywiołów ludzkich, o jego arystokratyzmie z cichą ostentacją wobec świata, który jest mu z gruntu obcy. A jednak osobowość Vincenza i Máraiego tylko w ograniczonym stopniu określała ich role i funkcje w życiu lokalnej społeczności w ówczesnych specyficznych warunkach. Większe znaczenie miała znajomość języka intruzów (Vincenz o tym wspomina). Dodaje ponadto, iż także inni Polacy służyli, w podobny jak on sposób, miejscowej ludności, a jeden z nich – nawet z narażeniem życia. Zresztą i Márai w sytuacjach przymusowych porzucał swój azyl, by spieszyć innym z pomocą, niekiedy z nadludzką determinacją.

Zobaczmy teraz, jak się obaj nasi bohaterowie przedstawiali (bądź jak byli przedstawiani) najeźdźcom, jak chcieli funkcjonować – bądź jak funkcjonowali – w ich świadomości.

Oto jak widział to autor *Dialogów z Sowietami*:

„Złożyło się już przedtem tak, że na wieść o tym, że coś tam piszę, sąsiedzi, szczególnie chłopci, mianowali mnie profesorem (...). Na Węgrzech zresztą utrzymywała się stara austriacka tytułomania (...). Z czasem profesor przestał być tytułem i był używany zamiast nazwiska. Przez pośrednictwo miejscowych chłopów, znających rosyjski z czasów niewoli z lat 1916–1918, tytuł ten dotarł także i do żołnierzy sowieckich. Przewalili mnie *polski profesor*”<sup>21</sup>.

Jak z tego wynika, dowiedzieli się nie od samego Vincenza, lecz – jakby mimochodem – od miejscowej węgierskiej ludności. Dopiero nagabywany, uściślił, że jest doktorem filozofii.

„Doktor filozofii? Nu wot tiebie! – wołał z podziwem mój interlokutor, a drugi dodał z jeszcze większym uznaniem: U nas tylko towarzysz Stalin jest doktorem filozofii”. Vincenz dodaje, iż wieść o tym, że jest doktorem, rozeszła się pośród żołnierzy i została źle zrozumiana, „więc doczekałem się, że żołnierze zaczęli do mnie przychodzić po lekarские rady, recepty i zabiegi, w niektórych przypadkach zupełnie kłopotliwe”<sup>22</sup>.

W przypadku Máraiego mamy do czynienia z autoprezentacją, co już z góry – mimo pozorów respektu, odnotowanego skrzętnie przez autora *Ziemia! Ziemia!* – niezbyt dobrze nastawiło do niego Rosjan. Do „społecznej autoprezentacji” doszło

<sup>20</sup> S. Márai, dz. cyt., s. 107.

<sup>21</sup> S. Vincenz, dz. cyt., s. 185–186.

<sup>22</sup> Tamże, s. 186–187. Dodajmy, że Sowieci obdarzali Vincenza również bardziej poufałym mianem: „papa” względnie „papasza”.

już podczas pierwszego spotkania z Sowietami, owego spotkania „twarzą w twarz”, o którym przed chwilą wspomniałem. „Młody człowiek wymierzył we mnie karabin i spytał: – Kto ty? Odpowiedziałem, że jestem pisarzem (...). Chłopak nie zrozumiał mojej odpowiedzi i powtórzył pytanie. Tym razem już wolniej, dzieląc słowo na sylaby, powiedziałem: >Pisatiel<. Nie znałem rosyjskiego, ale nauczyłem się tego słowa, bo chodziły wieści, że Rosjanie nie robią pisarzom krzywdy. I rzeczywiście, chłopak rozchmurzył się. (...) – Charaszo – powiedział – Idi damoj”<sup>23</sup>.

Pierwsza rozmowa utwierdziła Máraiego w przekonaniu, że magia „pisarza” działa: „Od chwili, gdy powiedziałem, że jestem pisarzem, patrzyli na mnie z takim szacunkiem i uwagą, jakbym był wyjątkową istotą”<sup>24</sup>. Niebawem przekonał się jednak, że może być całkiem inaczej: „To prawda, że słowo >pisarz< było wyrazem magicznym dla większości Rosjan – podobnie zresztą jak aktor, lekarz czy początkowo nawet ksiądz! – ale miałem się przekonać, że nie zawsze działało ono z czarodziejską siłą”<sup>25</sup>. Rosjanin zabrał worek mąki („próżne było tłumaczenie, że to dom pisarza”). Mając ograniczone – z powodu nieznamośności języka intruzów – środki perswazji, próbował uparcie wygrywać swój mocny – jak sądził – atut: fakt, że jest pisarzem. „Idź stąd – zwraca się do natrętnego gościa – bo jak widzisz, naprawdę trafiłeś do domu pisarza. Zobacz, to ja napisałem tę książkę. (...) Ja nie jestem ot, takim sobie zwykłym pisarzem, moja książka ukazała się razem z książką Ilji Erenburga. Zobacz, tu jest nazwisko Ilji Erenburga”<sup>26</sup>.

Ostentacja Máraiego musiała niekiedy wywierać efekt dość komiczny, choć trzymała w ryzach niektórych Sowietów. Na ogół jednak wznosiła między nimi a pisarzem dodatkowy mur obcości, niechęci, wręcz antypatii, czego on zdawał się zrazu nie dostrzegać. Potem uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że nie cieszy się sympatią, że uważają go za obcego, także klasowo: za burżuja. „Nie, ty nie jesteś burżujem, bo nie żyjesz z kapitału ani z pracy innych, tylko z własnej. Ale pomimo to jesteś burżujem, jesteś nim w głębi duszy (...)”<sup>27</sup>. Bardzo znamienne to słowa, bo zdają się mówić:

<sup>23</sup> S. Márai, dz. cyt., s. 13.

<sup>24</sup> Tamże, s. 26.

<sup>25</sup> Tamże, s. 33. Vincenz natomiast nie miał co do tego złudzeń; świadczy o tym jego relacja ze spotkania z kapitanem sowieckim, który „grzecznie, lecz z pewnym autorytetem moralnym, udzielił mi czegoś w rodzaju „moralnej nauki: >Dziwię się – mówił – że wam jeszcze chce się ratować siebie i spać wygodnie. Stary człowiek nie powinien dbać o siebie, co innego młody, z niego może jeszcze coś być< (...) Nadaremnia altruistyczny tenor, wyrażając się niezgrabnie po rosyjsku, przekonywał kapitana, że jestem pisarzem, że mam przed sobą jeszcze „ważne” dzieła i że sam pomagam innym. Kapitan wcale nie wycofał się, tym mniej zawstydził, jak oczekiwał mój zwolennik, tylko skrzywił się z niesmakiem. Nawet gdyby był uwierzył, nie wzruszyłoby go to nadmiernie, bo mógłby odeprzeć, że u nich w Rosji nie takich pisarzy trzymano latami w katorgach, zabraniano im pisać, albo zupełnie likwidowano.” (S. Vincenz, dz. cyt., s. 246-247).

<sup>26</sup> S. Márai, dz. cyt., s. 40. Wedle tej relacji, jeden z interlokutorów określił Erenburga mianem „propagandysta”. Jak wiadomo, określenie to odpowiadało rzeczywistości. Píše też o tym Vincenz: „Kto czytał w owym czasie cotygodniowe artykuły wojenne sławnego pisarza Ilji Erenburga w prasie stołecznej, artykuły zięjące nienawiścią i nieprzytomnie zachęcające do tępienia >faszystów<, mógł się skłonić do przypuszczenia, że i to chyba zostawiło niemałe ślady w umysłach żołnierzy” (dz. cyt., s. 197). Z tym wiąże się występujące u Vincenza przykłady bratania się z nim niektórych Sowietów w imię solidarności nie tylko słowiańskiej, ale też sojuszniczej (przezornie nie wspominał im, że z Polski uciekał przed nimi). Takich przykładów nie znajdziemy oczywiście u przedstawiciela „narodu faszystów” – Máraiego.

<sup>27</sup> Tamże, s. 95.

pisarz niekoniecznie jest burżujem, ale ty jesteś burżujem. „Byłem dla nich burżujem” – konstatuje Márai w innym miejscu. Zdarzało mu się podchwycić jakieś strzępy ich rozmów: „A skocz no tam która do burżuja po dwa kilo cebuli!”<sup>28</sup>. Przypomina sobie, że „przed przybyciem Rosjan rozmaici złośliwi prorocy namawiali „burżujów”, by całymi dniami bawili się szorstkimi, brudnymi śrubami, bo Rosjanie wykańczają wszystkich, którzy mają „gładkie rączki”. W rzeczywistości jednak wśród Rosjan było wielu snobów (...)”<sup>29</sup>.

Mimo to, zadaje sobie dość dramatycznie brzmiące pytanie: „Czy mnie nienawidzili, innego człowieka, burżuja?”. Bo nie ma wątpliwości, że tak go postrzegali. Nie miał tego, co cechowało Vincenza: daru naturalnego obcowania z ludźmi z różnych sfer społecznych, różnej narodowości, kultury, mentalności, etc. W przypadku kontaktów wymuszonych z Sowietami ów dystans był szczególnie dojmujący: byli mu obcy jako plebejusze, pozbawieni na ogół wykształcenia, jako Słowianie, jako przedstawiciele mocno przezeń mitologizowanego Wschodu, a przy tym wszystkim – jako niebezpieczni najeźdźcy, zakłócający mu mir domowy.<sup>30</sup>

Toteż Vincenz rozmawia z Sowietami, Márai natomiast porozumiewa się z nimi i – nade wszystko – obserwuje ich, niekiedy też egzaminuje. Pierwszy – powtórzmy – jest tu w uprzywilejowanej pozycji, bo zna dobrze ich język. Jest zarazem – co równie istotne – pozbawiony zupełnie uprzedzeń, patrzy na żołnierzy Armii Czerwonej, dostrzegając ich ludzkie – psychologiczne, charakterologiczne, kulturowe, wojskowo-funkcjonalne etc. zróżnicowanie, nie zaś zuniformizowanego człowieka Wschodu (do tego jeszcze wrócimy). Pisz na przykład: „Frontowi żołnierze szczególnie żywo reagowali na rosyjskie słowo, a byli wdzięczni za każde słowo dobre i gest życzliwy. Tak jakby dla nich to spotkanie z ludzkim życiem było ostatnie przed wejściem w sferę zabijania i śmierci. (...) Nietrudno było odróżnić tych żołnierzy frontowych od łazików i wygów przyfrontowych”<sup>31</sup>.

<sup>28</sup> Tamże, s. 104.

<sup>29</sup> Tamże, s. 105. Za przejaw snobizmu Węgrzy poczytywali Rosjanom ich lubowanie się w komfortowych warunkach mieszkaniowych, jakie znaleźli w opuszczonych przez właścicieli budapeszteńskich willach, co Vincenz komentuje znacznie trafniej i wnikliwiej, zwracając przy okazji uwagę na nadludzką wytrzymałość żołnierzy sowieckich (także oficerów) na skrajne niewygody; zob. S. Vincenz, dz. cyt., s. 246.

<sup>30</sup> Znamienne konstatacje Máraiego: „(...) w Rosjanach jest jakaś inność, której wychowany w zachodniej kulturze człowiek nie rozumie. Nie krytykuję, nie pochwalam ani nie odrzucam tej inności: po prostu ją stwierdzam” (s. 38). „Bardzo lubili grać, komediować. Ale ich zabawy też były całkiem inne, nie czułem w nich ani samoświadomości *homo ludens*, ani kulturowego odruchu *commedii dell'arte*: w ich improwizowanych grach czuło się znachorstwo, plemienny ceremonial – dlatego też byli po trosze przerażający, gdy zaczynali coś odgrywać” (s. 46). Sądy o podobnej wymowie Márai formułuje wielokrotnie; w kolejnym stwierdza: „Lecz przede wszystkim byli zaskakujący: najpierw w taki sposób jak dzieci, a zaraz potem jak nieznaną gatunek ludzki, którego zachowań i refleksji nie sposób przewidzieć”. Dodajmy, że o nieobliczalności Rosjan pisał też Vincenz. W innym jeszcze miejscu Márai pisze o Rosjanach, tym razem odwołując się wprost do własnych doświadczeń, w sposób cokolwiek zadziwiający: „Przynieśli ze sobą zarówno czas moskiewski, jak i cyrylicę, i całą tę inność, tajemniczą obcość, której człowiek zachodni nigdy nie zrozumie, a której nie była w stanie zniwelować nawet ta przymusowa, wielka bliskość współżycia. Całymi tygodniami żyliśmy pośród tych trzydziestu mężczyzn jak zwierzęta we wspólnej zagrodzie: jedliśmy z jednego wiadra, na jednej spaliliśmy słomie, praliśmy im, gotowaliśmy dla nich, pomagaliśmy im w pracy – **ale nigdy, ani przez chwilę nie czułem, że mamy ze sobą cokolwiek wspólnego**” (s. 84-85) – wyróżnienie moje – J. S.

<sup>31</sup> S. Vincenz, dz. cyt., s. 203.

Ze wspomnień Vincenza wynika, że Sowietci sami garnęli się do niego, świetnego – jak powszechnie wiadomo – gawędziarza, aby „pogawarit”. On zaś rzadko im odmawiał (niekiedy, gdy goście byli pijani, mogło to być ryzykowne), mimo że często bywał bardzo zmęczony. „Raz zajechało do nas późnym wieczorem kilku szoferów wojskowych. Noce były wówczas dość niespokojne i czuwałem do późna zazwyczaj, a szoferzy czekając na rozkaz odjazdu, nie mieli co robić. Byłem zmęczony i rozmowa nie kleiła się. Słowo do słowa dowiedzieli się szoferzy, że piszę książki, prosili, bym coś im z tego opowiedział. Najwdzięczniejsi słuchacze! Tylko w jednym temacie nie kleiły się na ogół rozmowy, tj. o Stalinie”<sup>32</sup>.

Márai sam odczuwał w swych kontaktach z Sowietami jakąś wymuszoność i sztuczność. Dochodziło do nich nie bezinteresownie, aby „pogawarit”, jak to się zdarzało w relacjach Sowietów z Vincenzem. „Na ogół czegoś chcieli” – wspomina pisarz i dodaje: „po przeminięciu pierwszego napięcia te spotkania miały ludzki charakter, ale był w nich element aktorski i odbywały się w sposób wyuczony. Po przywitaniu i ustaleniu podstawowych pojęć pozostawały nam bardzo ograniczone możliwości porozumiewania się. Wśród domowników znajdowała się pewna młoda kobieta, która ukończyła studia w Pradze i biegle mówiła po czesku. Była naszą tłumaczką. Rosjanie na ogół rozumieli, co mówiła”<sup>33</sup>.

Gdy już trzeba było rozmawiać, Márai był bardzo ostrożny. Zdarzyło mu się przyjmować oficerów, którzy byli dlań bardziej przewidywalni, toteż mniej się ich obawiał aniżeli nieokrzesanych „sołdatów”, mógł też niekiedy porozumieć się z nimi po niemiecku. „Nie pytałem, naturalnie, ani o ich domy, ani o ich losy, co łatwo mogli źle zrozumieć. Uznałem za najrozsądniejsze trzymać się *jedynego* tematu, nad którym miałem panowanie, literatury. (...) Na moje pytania odpowiadali na ogół niepewnie (...). Próbowałem się dowiedzieć, co pozostało w tych ludziach z potężnej rosyjskiej literatury, która z tak przenikliwą siłą potrafiła na początku wieku poruszyć naród rosyjski i cały myślący świat. Dlatego nie wystarczały mi przytakujące potwierdzenia moich gości, że czytali >wszystko<, lecz pytałem o szczegóły”<sup>34</sup>.

A zatem Márai starał się rozmawiać na własnych warunkach, narzucając jedyny temat, „nad którym panował”, który na ogół nie pasował interlokutorom, co sprawiało, że takie rozmowy przybierały formę swoistego egzaminu. Nie miały cech naturalnej wymiany wiadomości, poglądów i ocen, zakorzenionej w okolicznościach, w których rozmowa się odbywa. Wskutek głębokiej nierównowagi między Máraiem a jego sowieckimi rozmówcami narastał w nich zapewne „efekt obcości” wobec „burżuja”, on zaś skazany był na kreatywną interpretację ich wielce zdawkowych wypowiedzi.

Przykładów efektownych niekiedy, ale nierzadko raczej zabawnych ekstrapolacji i uogólnień Máraiego, wynikających z ułomności jego „dialogów z Sowietami”, można znaleźć sporo w jego książce. Oto wspomina jeden z epizodów typowych dla tamtego okresu swego życia: „do naszego wiejskiego domku zawitało dwóch kudłatych wędrownych żołnierzy radzieckich o groźnym wyglądzie. Byłem sam w domu,

<sup>32</sup> Tamże, s. 212. Trzeba przy tym dodać, że stosownie do okoliczności i charakterystyki rozmówców, potrafił wpłatać do owych rozmów również wątki „poważniejsze”: literackie, religijne czy nawet polityczne.

<sup>33</sup> S. Márai, dz. cyt., s. 23.

<sup>34</sup> Tamże, s. 46-47.

kobiety zajęte były zdobywaniem żywności i opału (...). Apatycznie siedziałem z nimi i czekałem, by sobie wreszcie poszli. Jeden z nich natychmiast zasnął. Drugi zaś po pewnym czasie zaczął mówić. Mówił po rosyjsku albo po ukraińsku. Nic nie rozumiałem, ale w jego tonie było coś, co przykuło moją uwagę<sup>35</sup>. Po czym następują górnołotne refleksje o roli Rosjan w przyszłej historii Europy i świata.

Szczególną próbą, jakiej poddawani byli obydwaj nasi bohaterowie, okazała się konieczność interwencji w konkretnych, drastycznych sytuacjach. Obaj stawali przed „klasycznym” wyzwaniem: obronić kobiety przed gwałtem, niekiedy – rodziny przed rabunkiem. Vincenz wypracował sobie w tym celu całą długofalową strategię. „Nie mając żadnego innego środka fraternizowałem się z żołnierzami, odwoziłem ich za pomocą rozmowy, dopytywałem o kraj, o rodzinę, o wojenne trudy, kazałem sobie opowiadać i wreszcie, w miarę mej możliwości, piłem z żołnierzami. Na szczęście miałem dość mocną głowę i mimo ciągłego niewyspania mogłem jako tako dotrzymywać towarzystwa pijącym, zawsze jednak więcej działając gadaniem<sup>36</sup>. Był świadomy jednocześnie, że musi przez cały czas zachowywać przytomność umysłu i poczucie humoru: „czasem zależało od jakiegoś drobnego podmuchu, w którym kierunku zwrócą się humory takiego gościa, który sam nie wiedział, po co przyszedł. (...) Bo nieraz ci, co przychodzili z zamiarem rabowania, po niedługiej rozmowie przemieniali się jakby w dobrych kolegów<sup>37</sup>.

„Najważniejszym jednak mym odkryciem – pisze Vincenz – było, aby zaznaczyć się z jakąś większą grupą, o ile możliwości z całym oddziałem, który w razie jakiejś niemiłej lub groźnej niespodzianki już dzięki większości powstrzymywał osobnika pijanego, dzikiego czy zbrodniczego<sup>38</sup>.

W innym miejscu opisuje pełne grozy zdarzenie: jak powstrzymywał Sowietów „picciem i rozmową przed zamiarem szukania kobiet”. Nawet o tym problemie rozmawiał z nimi, niejako profilaktycznie: „wspomniałem anegdotycznie starogreckie podanie, że gdy w mieście zdobytym Heraklesowi chętnie poddało się pięćdziesiąt kobiet, i to córce królewskich, a jedna tylko oparła się stanowczo, skazał ją na dożgonne dziewictwo, które później przekazało się w kulcie. >Tak to co innego – mówiłem – gdy znajdują się takie oporne, można je ukarać, owszem, dziewictwem, dobrze im tak! Ale to wystarczy.< Natrafiłem na dobry przykład, nikt nie zaprzeczał, śmiali się ze zrozumieniem, tylko kapitan nasrożył się i rzekł twardo: ‘To nie żarty! Niech mnie mianują tu na miesiąc w tym celu, to wytepię te łajdactwa na całym froncie. Bo taką dzikość trzeba tępić’<sup>39</sup>. O szczególnej empatii Vincenza świadczy opisany przezeń incydent z „weterynarzem Wasią”<sup>40</sup>.

Z aktualnej w chwili pisania *Dialogów* perspektywy francuskiej pisał: „mimo woli wyobrażam sobie czasem, jak męczący byłiby tacy goście dla ludzi zachodniej Europy przyzwyczajonych do *privacy*, do podziału czasu i do mniej intensywnej komunikacji<sup>41</sup>.

<sup>35</sup> Tamże, s. 54.

<sup>36</sup> S. Vincenz, dz. cyt., s. 188.

<sup>37</sup> Tamże, s. 188.

<sup>38</sup> Tamże, s. 189.

<sup>39</sup> Tamże, s. 226-227.

<sup>40</sup> Tamże, s. 242-244. W swojej książce Vincenz przytacza kilkakrotnie przykłady niesienia miejscowej ludności pomocy przez Sowietów, ale też nie przemilcza popełnionych przez nich – niektórych z nich – drastycznych gwałtów i nawet morderstw.

<sup>41</sup> Tamże, s. 245.

Otóż takim „człowiekiem zachodniej Europy” był – także pod kilkoma innymi względami i niezależnie od barier językowych – Sándor Márai. On również wypracował pewną strategię postępowania z Sowietami w sytuacjach granicznych, zwłaszcza wówczas, gdy zmierzali do gwałtów na kobietach: „Opowiadano wiele strasznych historii (...). Nasza sytuacja w domku na skraju wsi nie była całkiem bezpieczna, w końcu przez kilka tygodni mieszkalem sam z dwiema kobietami pośród Kirgizów, Czuwaszów i innych zdziczałych ludzi. A jednak niezmierna gotowość uprzejmego zachowania, grzeczny, ale stanowczy sposób odmowy, determinacja stałego wewnętrznego oporu robiły swoje – gdy to w kimś wyczuli, czasem łagodnieli”<sup>42</sup>.

Márai przywołuje tu szczególnie dlań pamiętny incydent z garbatym, agresywnym żołnierzem sowieckim:

„– >Niech Ilonka wyjdzie!< Nietrudno było sobie wyobrazić, co miało oznaczać to żądanie. Ilonka była naszą tłumaczką i już wcześniej zauważyliśmy, że garbus nie spuszcza z niej oczu (...). Włożyłem szlafrok i wyszedłem do sąsiedniego pokoju, pomiędzy podпиты, śpiewających Rosjan. Czulem się jak poskramiacz, który musi wejść do klatki (...). Zamknąłem za sobą drzwi do naszego pokoju i stanąłem naprzeciw garbusa. Plecami opierałem się o framugę. I tak stałem z rękami złożonymi na piersiach milcząco i nieruchomo. Garbus wyszczerzył zęby w uśmiechu (...), wiedziałem, że wszystko zależy od mego zachowania i tonu głosu (...). Przybliżał się powoli, ostrożnie. Kiedy znalazł się wystarczająco blisko, wyciągnąłem rękę, dotknąłem jego ramienia i zacząłem mówić. Mówiłem szybko i cicho, po węgiersku. Poważnie, surowym tonem powiedziałem mu, że to, co planuje, jest nieludzkie. I dotknąłem jego ramienia. Przez chwilę nic się nie działo. Po czym garbus odwrócił się, z gniewnym pomrukiem ruszył do drzwi (...). Pozostali w izbie zaczęli klaskać, po udanym numerze publiczność w taki sposób nagradza pogromcę. I później już nic podobnego się nie powtórzyło, ani tej nocy, ani następnych nikt nie niepokoił już naszych domowniczek”<sup>43</sup>.

Nie mamy podstaw, by wątpić ani w autentyczność tego zdarzenia, ani w jego dramatyzm. Wszelako tym, co czytelnika uderza szczególnie, jest sposób, w jaki utrwało się ono w pamięci Máraiego, a w każdym razie – sposób, w jaki je przedstawia. Zdumiewa teatralizacja tego wspomnienia. Oto dramat rozgrywa się w dwóch pokojach (*nota bene* topograficzny aspekt incydentu nie całkiem jest jasny) i autor sugeruje, że są to w istocie dwa światy: świat ludzi cywilizowanych, będących zarazem potencjalnymi ofiarami, oraz świat potencjalnych oprawców, dziki i nieobliczalny (przyporównany nawet do klatki z drapieżnymi zwierzętami). Granice fizyczne dzielące te światy są kruche. Stąd niesłychane napięcie, wszak w każdej chwili można się spodziewać ataku ze strony dzikich bestii. Gdy jedna z nich, ukazana dość groteskowo (skradający się garbus z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami), upatrzawszy sobie ofiarę, szykuje się do gwałtu, na scenę wkracza sam Pisarz. Udrapowany w szaty Obrońcy Czcii Niewieściej jawi się w gruncie rzeczy jako Obrońca Cywilizowanego Świata. Te jego metaforyczne szaty były w istocie szlafrokiem (byłoby stylowo, gdyby był on biały, ale o tym autor nie wspomina).

Wszelako i pocziwy szlafrok zdaje się w tej relacji wykraczać poza swą zwyczajną, skromną rolę: Pisarz przywdziewa go, zanim wejdzie do sąsiedniej izby (to wtedy ma wrażenie, że wchodzi do klatki z drapieżnikami), aby stawić czoła napast-

<sup>42</sup> S. Márai, dz. cyt., s. 99-100.

<sup>43</sup> Tamże, s. 101-102.

nikowi, przedstawicielowi świata dzikiego i złego. Szlafrok Máraiego niejako symbolizuje ostentacyjną obcość i negację zwyczajów panujących w świecie, dla którego mieszczańskie reguły i cnoty – choćby takie, jak mir domowy, respekt dla cudzej prywatności, ustalony rytm życia zgodnego z dobowym następstwem dnia i nocy – nie mają najmniejszego znaczenia. Konfrontacja tych dwóch postaci, w której reprezentant Zachodu, obrońca zachodniej cywilizacji, odnosi zwycięstwo nad przedstawicielem Wschodu, uosobieniem żywiołów i dzikich żądz, jawi się wręcz jako starcie ducha z materią i dobra ze złem. Pisarz poskramia swego przeciwnika, używając słów, których tamten nie rozumie. Dzikie agresor ulega właśnie potędze ducha, skupionej woli, świadomej swych przewag i celów. Zejście „Rosjanina” z placu boju, jego odejście (zauważmy, że tak mniej więcej wycofują się zwierzęta, które uznają swą niższość), zostało zwieńczone oklaskami świadków zdarzenia.

I znów możemy się poczuć jak w teatrze. Poświęciliśmy temu epizodowi więcej uwagi, gdyż pozwala on, chyba bardziej wyraziście niż inne, uchwycić istotne cechy postawy Máraiego wobec Sowietów, znacząco różnej od tej, którą wykazywał Vincenz.

W świetle relacji obu pisarzy rysują się ich spojrzenia na najeźdźców (wyzwoliciele?). Vincenz zdaje się obserwować ich z bliskiej perspektywy, Márai – jakby z od dali. Pierwszy dostrzega wśród nich konkretnych ludzi, zróżnicowane indywidualności o własnych szczególnych uwarunkowaniach i losach. Dzieje się tak dlatego, że mógł z Sowietami wchodzić rzeczywiście w sytuacje dialogowe, udzielał im pomocy, z niektórymi nawet się zaprzyjaźniał. Dzięki temu łatwiej mógł ze swoich kontaktów z nimi wyprowadzać wnioski o naturze i przyczynach „sowieckich grzechów”. Łączy je z długotrwałą alienacją prostych ludzi oderwanych od swych rodzin i środowisk, z alkoholizmem, z naturalnym – acz pobudzonym też przez propagandę – odruchem odpłaty wrogom za doznane od nich własne krzywdy (i – ma się rozumieć – za krzywdy rodaków). Dostrzega również w ich zachowaniach wpływy doraźnej propagandy i odwiecznego rosyjskiego mesjanizmu.

Márai natomiast, jeśli nawet niektóre jego wnioski czy uogólnienia pokrywają się z Vincenzowymi, to z reguły nie wywodzą się one wprost z jego własnych, konkretnych doświadczeń, z tych wojennych kontaktów z Sowietami, lecz z ogólnej wiedzy autora o Rosji i ZSRR. Porównawcze spojrzenie na zapisy dziennikowe, powstające niejako na gorąco, i relacje ze spotkań z Sowietami zrekonstruowane po ćwierćwieczu, wykazuje, że obraz Wschodu, Rosji i Sowietów, utrwalony na kartach książki *Ziemia! Ziemia!...*, został w pewnym stopniu dopełniony wiedzą zaczerpniętą z różnych źródeł później oraz refleksjami, które wykrystalizowały się na tej pełniejszej podstawie. Stąd między innymi bierze się sugestywność wizji Máraiego, jej swoista atrakcyjność dla ludzi Zachodu.

Podczas gdy Vincenz trzyma się w swych rozważaniach bliżej ziemi, niuansuje wrażenia z kontaktów z Sowietami u schyłku wojny i ostrożniej formułuje uogólnienia, Márai, który już wówczas widział w Sowietach nie tyle poszczególnych ludzi, co pewne typy i symbole postaw mentalnych charakterystycznych dla Wschodu i drastycznie przeciwstawnych wobec wzorców zachodnich, śmiało posuwa się do generalizacji o zakroju wręcz historiozoficznym. Podążając tropami Schubarta, pisze o duszy Wschodu i jej możliwym wpływie na Europę, przeciwstawia „prometejski Zachód jo-

hannistycznemu Wschodowi”, stwierdza, że „bolszewizm to ultimatum, które Bóg postawił ludzkości”. W tym kontekście zastanawia się nad przyszłością Europy, dywaguje, czy człowiek Zachodu, osłabiony przez chroniczny sceptycyzm i dekadencję (po głosy Spenglera, którego – jak pamiętamy – czytał w okupowanym przez Sowietów Leányfalu), będzie zdolny powstrzymać ekspansję elementarnego, zarażonego przy tym poczuciem misji, żywiołu napierającego ze Wschodu. Pytania istotne, diagnozy przenikliwe, formuły frapujące, ale słabo zharmonizowane z osobistymi doświadczeniami Máraiego, jakby nad nimi nadbudowane i w tym sensie niezbyt lojalne wobec niepozornych, ale głęboko uczciwych relacji i refleksji Vincenza.

Także *en bloc* sprawiają wrażenie nazbyt teatralnych. Zdawałoby się, że autor czeka, aż rozlegną się – jak wówczas w osaczonym przez Sowietów domu w Leányfalu – oklaski. Tyle że tym razem oklaski całej zachodniej publiczności.

Puenta moich wywodów musi być jednak inna, sprawiedliwsza dla Máraiego. W chwili, gdy wspominał swe kontakty z Sowietami i kreślił historiozoficzne uwagi na temat Rosji i Europy, był – od pierwszych powojennych miesięcy – dobrowolnym wygnańcem z „sowieckich Węgier”, samotnikiem z wyboru w imię wartości i ideałów, których nie potrafił się wyrzec, pisarzem z wolna zapominanym w swojej ojczyźnie i pozbawionym czytelników.

Szczęśliwym zrządzeniem losu obaj pisarze pozostawili nam relacje i refleksje ze swoich spotkań i rozmów z Sowietami. Zetknęli się z nimi w dramatycznych okolicznościach, w tym samym czasie – w ostatnich miesiącach drugiej wojny światowej – i mniej więcej w tym samym miejscu – w położonych blisko siebie wioskach węgierskich. Doświadczenia Vincenza i Máraiego, a także wnioski, jakie z nich sami wyprowadzają, skłaniają nas do zadumy nad wieloma sprawami wciąż aktualnymi i ważnymi. Nasuwają pytania, może też niekiedy sugerują odpowiedzi, jak patrzeć na obcego, na innego, na „nieproszonego gościa” lub „wroga”, jak z nim rozmawiać, jak układać sobie z nim „kohabitację”, jeśli jest to konieczne, jak wreszcie reagować na przemoc, której się po nim możemy spodziewać bądź która nas z jego strony dotyka.